

Polityka, apolityczność i metapolityka

29 września 2017

Wielkie zamieszanie mamy nie tylko w polskiej polityce. Jeszcze większy zamęt panuje w głowach ludzi, którzy już to bezradnie, już to bezmyślnie operują słowami POLITYKA i APOLITYCZNOŚĆ. Wielu z nich szuka na oślep określeń, które pozwoliłyby inaczej, ładniej nazwać to, co robią w zgodzie z własnymi poglądami i interesami.

Bo w języku komunikacji publicznej, który towarzyszy grze politycznej, rywalizacji międzypartyjnej, parlamentarnym debatom i awanturom, walce o władzę, niekonstytucyjnie forsowanym zmianom ustrojowym, komentarzom ekspertów (konstytucjonalistów, politologów wyspecjalizowanych w marketingu), analizom i refleksjom publicystów, wreszcie – akcjom protestacyjnym POLITYKA to „brzydkie słowo”. To rodzaj epitetu. Solidarnie kolportują ten groch z kapustą dziennikarze, sami politycy, jak i inicjatorzy i liderzy obywatelskich akcji protestu, kontestacji, obrony praworządności. Nie mówiąc już zwykłych obywatelach.

STEREOTYP POLITYKI

Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się oczywiste i jednoznaczne – z punktu widzenia kryteriów potocznych. Kto rządzi (tak jak umie i nie umie), ten oczywiście zajmuje się polityką. Kto krytykuje, a zwłaszcza zwalcza czyjeś rządy, występując w roli opozycji, a zwłaszcza licząc na to, że zastąpi rządzących u steru władzy, ten też zajmuje się polityką. Kto nie interesuje się polityką, a tym bardziej nie wspiera ani rządzących, ani ich przeciwników, ten „oczywiście” jest „apolityczny”. I oczywiście „apolityczna” jest policja, która nie miesza się do politycznych awantur, lecz tylko zabezpiecza miejsca pochodów i wieców barierkami oraz

szpalerem funkcjonariuszy, by chronić budynki publiczne i zadbać o bezpieczeństwo jednych i drugich, a nawet trzecich (postronnych).

Już w tym potocznym rozumieniu polityki (walka o władzę – o jej zdobycie, utrzymanie, utrwalenie, poszerzenie lub pozbawienie jej strony przeciwnej) znika istota tej formy działalności. Władza nie jest jedynym, lecz tylko szczególnym instrumentem polityki. Można wywierać wpływ, panować, kontrolować, ograniczać innych, narzucać swoją wolę bez sprawowania władzy (a więc i bez odpowiedzialności), lecz w inny sposób, o czym świadczy rola Kościoła, lobbies, a bywa, że i mafii. Nie jest też istotą polityki taki czy inny cel (np. realizacja jakiegoś ideału, utopii, programu reform czy rewolucji, kontrrewolucji, restauracji) – zwłaszcza, że polityka jest rywalizacją, czasem wręcz wojną sił o przeciwstawnych celach.

Polityka nie jest „sumą” polityk partykularnych poszczególnych podmiotów, lecz tym, co dzieje się pomiędzy siłami o rozbieżnych i wręcz sprzecznych dążeniach. Istotą polityki jest coś innego: sprzeczność interesów grupowych naruszająca warunki równowagi społecznej i spójności wspólnoty, rodząca konflikty i pokusę przemocy, by „postawić na swoim”. Oraz wynikająca z tej sprzeczności, dezintegracji wspólnoty i z napięć, konfliktów społecznych konieczność regulacji stosunków społecznych, dokonania rozstrzygnięć – a więc decydowania. Tyle, że decydowanie nie jest po prostu domeną tak zwanych decydentów, lecz złożonym procesem społecznym, w którym waży się siła rozmaitych potencjałów, wpływów i nacisków.

W tym sensie polityką – o zgrozo – zajmują się nie tylko partie polityczne, ruchy wywrotowe (np. terroryści), organy państwa, dyplomaci, dziennikarze w roli propagandystów, lecz również związki zawodowe, zrzeszenia przedsiębiorców – „pracodawców” (jako grupy nacisku), kościoły, a także stowarzyszenia i spontanicznie zawiązywane inicjatywy obywatelskie. Te ostatnie nawet wtedy, gdy skupiają i

mobilizują do aktywności obywateli, którzy sami są i chcą pozostać bezpartyjni, może nawet chcieliby zachować równy dystans do polityków z każdej strony barykady. Paradoksalnie, nieraz w tej aktywności społecznej lub nawet instytucjonalnej (w ramach działalności instytucji naukowych, kulturalnych, konfesyjnych) jest więcej polityki niż w szumnych i „pasjonujących” (jak kogo!) rozgrywkach i spektaklach samych polityków. Jest bowiem różnica między polityką jako diagnozowaniem i próbą rozwiązywania określonych problemów społecznych, zaspokajania potrzeb różnych grup społecznych (z wykorzystaniem instrumentów władzy, ale i nacisku lub oporu społecznego), a polityką wyjaławioną, zredukowaną do celu samego w sobie. Znamy to dobrze: władza dla władzy – a wszystko inne jest tu pretekstem lub okazją; gra polityczna dla samej przyjemności, bez względu na wynik i koszty – jak u nałogowych graczy. Ten drugi przypadek nazywano kiedyś politykierstwem.

„POLITYKA” JAKO EPITET

Ku własnej wygodzie politycy z tej czy z tamtej strony lubią czynić ze słów POLITYKA, POLITYCZNY, UPOLITYCZNIENIE użytek selektywny i przewrotny. Np. taki: My rządzymy, zarządzamy, zajmujemy się sprawami Polaków, oni – politykują (czytaj: przeszkadzają w robocie, knują, psują, szkodzą). Albo: to kwestia merytoryczna (kwestia programu, koncepcji, kompetencji), a wy ją upolityczniacie! Jak gdyby meritum sprawy można było oderwać od kwestii, kto się nią zajmuje, podejmuje decyzje, w imię czego, w czym imieniu i w czym interesie. Ale też i taki użytek: w tym sporze nie chodzi o samą politykę (która może być taka lub inna, nasza lub wasza), lecz o zasady i o styl.

To akurat może być prawdą, że przedmiotem sporu i powodem do reakcji jest pewien styl działania, pewne metody lub naruszanie obowiązujących w danym kręgu i dotychczas powszechnie respektowanych oraz egzekwowanych zasad. Jednak przytomnemu odbiorcy takich haseł trudno byłoby nie zauważyć,

że oceny stylu działania, jego legalności, jego moralnej i estetycznej strony nie zawsze dokonują postronni i bezstronni lub zgodnie uznani przez strony sędziowie, lecz ci, którzy w wypowiedzianej i nawet narzucanej ocenie sami nie są ani bezstronni, ani bezinteresowni. Zdarza się więc często, że ocena stylu, metod, podstaw prawnych czyjejś polityki jest jednak uwikłana w interes polityczny oceniających – czy to akceptujących, popierających, czy też potępiających i protestujących. Jest w tym pewna kwadratura koła: czy jeśli ktoś ocenia czyjąś politykę z najszczerzą nawet intencją neutralności politycznej (i w szczerym przekonaniu, że ta ocena nie służy tylko jednej ze stron sporu, konfliktu, lecz wszystkim, całej wspólnotie), to ta ocena w skutkach rzeczywiście taką się okazuje, czy też jednak komuś służy lepiej?

ZŁUDZENIE APOLITYCZNOŚCI

Z kolei wśród obywateli „od zawsze” zdystansowanych wobec „partyjniactwa”, jak i wśród tych, którzy w swojej dotychczasowej identyfikacji się rozczarowali, ale też teraz nie ufają już zupełnie nikomu (spośród sił formalnie politycznych) niezwykle żywe jest złudzenie apolityczności i tyleż naiwne, co błędne rozumienie samego tego słowa.

Jeśli komuś nie jest obojętne, czy w jego państwie przestrzegana jest konstytucja, respektowane są prawa człowieka i obywatela, czy kariery urzędnicze zależą od kompetencji, czy też od protekcji lub partyjnego zawłaszczania państwa, czy kariery polityczne zależą od zasług dla społeczeństwa i poparcia społecznego, czy też od medialnych popisów i układów z liderem – to nie jest on „apolityczny”. Nie jest apolityczny, nawet jeśli interesuje się tym bez sympatii dla jakiejkolwiek partii, jeśli upomina się o standardy prawne, cywilizacyjne, o dobre obyczaje polityczne z dystansem do wszelkich partii i wręcz nie życząc sobie, by do polityce przyklejali się do jego obywatelskich inicjatyw i protestów.

Natomiast „apolityczni” są ci obywatele, którzy albo w ogóle usiłują wyłączyć się ze śledzenia wydarzeń i zmian politycznych, nie są ciekawi żadnych aktualnych wiadomości ze świata polityki, żadnych analiz, komentarzy, prognoz, którym wszystko jedno, „kto kogo”, bo „moja chata z kraja”. Apolityczni są też, paradoksalnie, ci, którzy nawet namiętnie śledzą medialno-polityczne pojedynki, ale jak przez szybkę, jak widz, który z nudów obserwuje walkę kogutów. I ani nie opowiada się po żadnej ze stron, ani też nie zakłada (i nie rozumie), iż podział ról zwycięzcy – przegrani wpłynie na jego dalsze życie. Choć taka postawa tych ludzi wcale nie znaczy, iż nie są uczestnikami polityki, gdyż ich obojętność, bierność, przyzwolenie lub zmienność nastrojów i np. głosowanie raz tak, a raz siak i na oślep to... rodzaj sprawstwa. Mogliby nas o tym pouczyć prawnicy, którzy – gdy mowa o odpowiedzialności za czyny – rozróżniają zamiar bezpośredni, zamiar pośredni i tak zwany zamiar ewentualny, mając na myśli skutki zaniechań, zaniedbań, jakie można było przewidzieć i jakich można było uniknąć.

Odwieczne zgoła nieporozumienia ze słowem „apolityczność” polegają na pomyleniu intencji wyłączenia z polityki i (złudnego zresztą) przeświadczenia o własnym indyferentyzmie politycznym z faktem rzekomego nieuczestniczenia w życiu politycznym i niewpływania na jego przebieg. Nic bardziej mylnego: polityczny analfabeta, ignorant lub politycznie niezdeklarowany konsument rozmaitych obietnic, wezwań, prowokacji, kampanii propagandowych nie przestaje być współsprawcą polityki, choć w szczególnej roli – trybiku w maszynie, „wody na młyn”, mięsa armatniego.

APOLITYCZNE SŁUŻBY?

Jeszcze większe pomieszanie z poplątaniem ma miejsce wtedy, gdy mowa jest o rozmaitych urzędach, instytucjach publicznych, organach państwa i ich funkcjonariuszach. Odpryski tego potocznego mętniactwa znajdziemy nawet w języku ustaw i w ich wykładni (apolityczność sądów, armii, policji itd.).

Adekwatnym i precyzyjnym określeniem jest np. „neutralność polityczna” urzędników, sędziów, prokuratorów, policjantów, Rzecznika Praw Obywatelskich – ale pod warunkiem, że rozumiemy różnicę między wymogami roli zawodowej, zajmowanego stanowiska, spełnianej funkcji urzędowej a prawem każdego obywatela, by na użytek prywatny (ale właśnie prywatny, osobisty) mieć poglądy. Nie jest bynajmniej tak, że sędziemu, prokuratorowi czy urzędnikowi służby cywilnej nie wolno mieć własnych (takich czy innych) poglądów. Im tylko nie wolno kierować się tym osobistym zaangażowaniem w roli zawodowej, służbowej wymagającej bezstronności i konkretnie – w podejmowanych decyzjach, w orzekaniu.

Tej zasady nie chcą zrozumieć (bo im wygodnie) w innych zawodach zaufania publicznego orędownicy „klauzuli sumienia”. Ich prywatne obsesje – posunięte aż do widzimisię i roszczeń do nawracania (jak gdyby zadaniem lekarza lub aptekarza było nawracanie) – „upoważniają” ich do nadużywania własnej roli zawodowej. Absurdalnym jest określeniem, gdy „apolityczną” nazywana jest policja, armia, agencja wywiadowcza, gdy „apolityczny” ma być Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. Materia działania takich instytucji jest par excellence polityczna. Realizują one istotne funkcje państwa w stosunkach wewnętrznych lub zewnętrznych, związane z bezpieczeństwem, egzekwowaniem prawa od obywateli, jak i dostojników państwowych. Czy państwo jest tworem „apolitycznym”? Jakim cudem więc organy i agendy państwa mogą być „apolityczne”? Pomyłono tu pojęcia. O takich instytucjach należałoby poprawnie wyrażać się, iż są one METAPOLITYCZNE. O czym za chwilę.

Już dawno zauważono, że wielu – jeśli nie większość – polityków cynicznie i przewrotnie wykorzystuje, ba, podsycania niechęć, awersję do polityki, nawet do samego słowa. Nie mają bynajmniej tak delikatnej skórki, by cierpieć z powodu coraz niższego prestiżu swojego zawodu i coraz niższego poziomu zaufania do polityków. Wręcz przeciwnie, ich kalkulacja jest

prosta, bo oligarchiczna. Im mniej ludzi będzie interesować się polityką, a tym bardziej, im mniej obywateli będzie miało własne aspiracje do wpływu na politykę, własne ambicje kariery politycznej, a przynajmniej wysokie obywatelskie kompetencje do oceny (w konsekwencji – do kontroli i rozliczania) polityków, tym lepiej. Tym mniejsza konkurencja, tym mniejsze ryzyko politycznego bankructwa (nawet po największych kompromitacjach), tym pewniejszy wąskogrupowy monopol na władzę, tym łatwiejsze sterowanie społeczeństwem jak stadem, nazwijmy to ładnie, owieczek i baranków bożych.

METAPOLITYKA

Protesty przeciw bezprawiu, a zarazem samowoli i arogancji rządzących – zwłaszcza te, których inicjatorami i organizatorami, a także najliczniejszymi uczestnikami byli zwykli obywatele, odlegli od partyjnych identyfikacji – naocznie ukazały inny rodzaj aktywności publicznej, o motywacji i intencji innej niż ta typowa dla klasycznie rozumianej, „czystej polityki”.

Atrybutem takiej „czystej polityki” jest reprezentowanie i forsowanie interesów i dążeń partykularnych, związana z tym stronnictwość, ideologiczna i propagandowa tendencyjność. Nie musimy tego aż potępiać; każdy ma prawo do tego, by dbać o własne interesy, uzasadniać je, legitymizować. I najlepiej jest wtedy, gdy każdy potrafi wypowiadać się i działać we własnym interesie, a przy tym ma zapewnione takie możliwości. Skoro jednak interesy i dążenia różnych grup, przekonania wyznawców różnych idei są trudne do pogodzenia, to wybór może być dokonany dwójako: albo przez przesądzenie siłą (przy zlekceważeniu racji i stłumieniu oporu oponentów), albo przez przetarg społeczny, negocjacje, dialog, kompromis – co jednak wymaga ustalenia pewnych reguł gry, zasad nadrzędnych i mechanizmów ich interpretowania oraz egzekwowania, wspólnie uznawanych kryteriów umożliwiających przynajmniej względną obiektywizację analizy problemu (zamiast skrajnej stronnictwości, subiektywizmu, wręcz zaślepienia).

W różnych sferach życia społecznego i formach działalności ma to miejsce od dawna. Nawet w sferze rozrywki, sportu. Wynik konkursu ma ustalić jury, którego członkowie sami nie są zainteresowani w tym wyniku, nie reprezentują też swoich krewnych, a muszą być niezależni od każdej ze stron. Mecz piłkarski może dlatego się odbyć i dlatego jego wynik może być uznany przez każdą ze stron (także – przez przegranych) oraz przez publiczność, ponieważ odbywa się według pewnych reguł, egzekwowanych przez arbitra. Przykładów takich można przytoczyć wiele.

Przez analogię do tych najrozmaitszych gier, form rywalizacji, do procedur mediacji, negocjacji lub arbitrażu w sporach gospodarczych od dawna już w sferze życia politycznego pojawiły się najpierw refleksje, idee, z czasem wręcz projekty (filozoficzne traktaty o granicach władzy monarszej, o wojnach sprawiedliwych i niesprawiedliwych, o Locke'a i Monteskiusza koncepcje podziału władz; Kanta ideał „wieczystego pokoju”), a potem i praktyczne rozwiązania (takie jak konwencje międzynarodowego prawa humanitarnego, jak trybunały konstytucyjne, trybunał stanu, ombudsman, model służby cywilnej), których wspólnym mianownikiem jest METAPOLITYKA.

Grecki przedrostek META- odnosi się do sytuacji, gdy zajmujemy się pewnym zjawiskiem z dystansu, przez pryzmat warunków jego funkcjonowania. Na tej zasadzie w nauce spotkamy metajęzyk, metateorię (to „teoria teorii”, ustalenia dotyczące warunków i granic prawomocności teorii, wymagań metodologicznych), metaetykę (analityczne i porównawcze spojrzenie na różne systemy etyczne). Metapolityka to próba ustalenia i egzekwowania reguł wiążących wszystkie strony gry politycznej, zapobiegających partykularnemu nadużyciu władzy, instytucji państwowych, cywilizujących i humanizujących walkę polityczną. Próba ustanowienia i zmaterializowania kontroli społecznej i kontroli ściśle prawnej nad działalnością polityków. Jej przesłanką jest nadrzędność dobra wspólnego nad partykularnymi roszczeniami, przeciwstawienie skrajnej stronnictwa i

tendencyjności mechanizmów obiektywizacji prawdy i ocen społecznych. Oczywiście nie jest to takie proste w praktyce. Ale nie jest też czystą mrzonką, gdyż – wbrew pozorom – standardy i ograniczenia narzucane uczestnikom życia publicznego leżą w interesie ich wszystkich, skoro chodzi o ochronę bezpieczeństwa, prywatności, godności, zapobieganie takim nadużyciom polityków, które szkodzą także im samym.

Tak pojęta metapolityka ma dwa wcielenia. Z jednej strony, instytucjonalne: funkcjonują takie instytucje, organy, urzędy, których zadaniem jest gwarantowanie porządku prawnego i ciągłości funkcjonowania państwa w taki sposób, aby nie paraliżowała go polityczna (partyjna, ideologiczna) stronnictwość, aby nie następowało zawłaszczanie władzy, aby zarówno sprawowanie władzy, jak i zmiana sił rządzących dokonywała się pod kontrolą społeczną i prawną, aby politycy nie mogli nadużywać swej roli i swych uprawnień w celu naruszania prawa, pozbawiania oponentów praw obywatelskich i unikania odpowiedzialności. Z drugiej strony, to aktywność obywatelska – w rozmaitych stowarzyszeniach i fundacjach zajmujących się przestrzeganiem prawa, obroną praw naruszanych przez władze, propagowaniem kultury prawnej i politycznej, sygnalizowaniem tendencji sprzecznych ze standardami cywilizacyjnymi i ustrojowymi naszego kręgu kulturowego i geopolitycznego – takich jak rasizm, ksenofobia, tendencje faszystowskie.

SPLIT POLITYKI I METAPOLITYKI

Jednak rozróżnienie i przeciwstawienie polityki oraz metapolityki jest łatwe, czytelne i jednoznaczne tylko w definicjach abstrakcyjnych. W praktyce zdarza się splót jednego z drugim.

Tak właśnie jest z szerokim frontem oporu przeciw PiS-owskiej „dobrej zmianie”, zaprzeczającej i normom konstytucyjnym, i standardom kultury politycznej i prawnej nowoczesnego społeczeństwa demokratycznego i państwa praworządnego, dobrym

obyczajom i kryteriom „smaku”.

Z jednej strony, mamy tu do czynienia z aktywizacją (często spontaniczną, nie zawsze sterowaną) obywateli stroniących na co dzień od partyjnych afiliacji, z drugiej strony – z włączaniem się do tych masowych akcji protestacyjnych samych polityków. Co prawda, głównie orientacji liberalnej lub umiarkowanie konserwatywnej, bo z dopuszczeniem i wyeksponowaniem polityków lewicy wiadomo, jak jest. Swoją drogą, ta marginalizacja i próby wykluczenia lewicy podkopują wiarygodność protestu i nacisku „ponad podziałami”.

To daje pretekst politykom i propagandystom „dobrej zmiany” do przedstawiania ruchu protestu jako partyjnej przebieranki lub jako festiwalu zbiorowej naiwności, za która kryje się „walka o powrót do koryta” polityków pokonanych w wyborach i skompromitowanych. Rzecznicy PiS udają, że nie rozumieją, iż gra toczy się o zasady i standardy istotne dla całego społeczeństwa, nawet jeśli obrona tych zasad i standardów może dobrze służyć interesom zawodowym i politycznym wielu obrońców.

Rzeczywiście jednak w tej antyautorytarnej mobilizacji zbiorowej przeplata się polityka z metapolityką. Tylko część uczestników ruchu protestu (choć zdecydowanie większa niż to sugerują, wmawiają pisowscy propagandyści) demonstruje bezinteresownie – w tym sensie, iż nie mają na względzie własnej kariery parlamentarnej czy ministerialnej, a nawet nie kierują się sprecyzowaną orientacją ideologiczną. Zawodowi politycy i działacze partyjni uczestniczą w tym ruchu już w innym charakterze, niejako z obciążeniem, gdyż to, przeciw czemu protestują (ubezwłasnowolnienie sądownictwa, „upolitycznienie” = upartyjnienie prokuratury, elementy państwa policyjnego) zagraża im nie tylko bardzo potencjalnie jako obywatelom, ale nader praktycznie jako politykom – przeciwnikom obozu rządzącego.

Trzeba jednak wytrwale i skutecznie tłumaczyć obywatelom, iż

obecna konfrontacja nie jest po prostu i tylko nabrzmiałym konfliktem politycznym, międzypartyjnym, ale ma znaczenie właśnie metapolityczne. Jej rozstrzygnięcie dotyczy nie tylko polityków – jako „bankrutów” lub pretendentów do sukcesji, ale i zwykłych obywateli, włącznie z tymi „apolitycznymi”. Z wielkim opóźnieniem odbywa się dopiero teraz zbiorowa lekcja metapolityki – reguł praworządności, demokracji, kontroli społecznej, standardów kultury prawnej i politycznej.

Autorstwo: Mirosław Karwat

Źródło: Strajk.eu